

Władysław Stróżewski  
Uniwersytet Jagielloński



## MAŁA FENOMENOLOGIA MIŁOŚCI

Nasze bycie w świecie jest oswajaniem świata. „Oswajanie” oznacza czynienie go „swojskim”. To zaś nasuwa myśl, że sam w sobie „swojski” nie jest. Nie wynika jeszcze z tego, że jest obcy, choć nader często jako obcy się jawi. Zwłaszcza zaś wtedy, gdy pragniemy coś z nim zrobić, czegoś dokonać. Wtedy czujemy, jak świat stawia opór. Stawianie oporu należy do istoty świata. W zasadzie przyzwyczailiśmy się do tego. Nie dziwi, że każdy nasz krok to przewyciężanie ziemskiej grawitacji. Ale złościmy się, gdy gwóźdź nie pozwala się prosto wbić w ścianę, a plama na ubraniu nie schodzi nawet przy intensywnym praniu. To są drobiazgi. Wystarczy jednak zapytać inżyniera, ile trudu wymaga przebicie tunelu, zbudowanie mostu lub położenie kilometra autostrady. Albo ilu skomplikowanych wysiłków – zaprojektowanie nowego, bardziej przychylnego nam pojazdu. Im trudniejsze stawiamy sobie zadanie, tym większy opór świata. I to nie tylko jego materii, ale i rządzących nim praw, których rozszyfrowanie wymaga największego trudu.

Ale jest i druga strona świata, niewymagająca trudu jego przewyciężania, bo nie stawiająca żadnego oporu. To jego piękno. Nie wymaga trudu, lecz budzi zachwyty. Nawet jeśli niekiedy przejmuje lękiem, nie odrzuca, lecz – przeciwnie – pociąga ku sobie. Oto szczelina, która zaprasza do wejścia bez przewyciężania oporu. A gdy w jej pięknie pojawi się piękny człowiek, poczucie obcości znika albo znikać zaczyna. Nie jawi się także doświadczenie oporu: drugi, a właśnie o nim tu mowa, nie stwarza oporu, lecz niweluje go, otwiera się i zachęca do zbliżenia. Oczywiście nie zawsze tak się dzieje. Drugi pojawić się może równie dobrze jako obcy, a nawet jako wróg. Ale nie ten przypadek chcemy rozważać. Chodzi nam o uchwycenie tego, co będziemy mogli uznać za początek miłości.

Pojawia się pragnienie bycia z drugim. Znakiem rozpoznawczym jego realnego istnienia nie jest stawianie przezeń oporu, lecz – paradoksalnie – jego brak. Poczucie oporu zastępowane jest przez potrzebę i spełniające ją doświadczenie bliskości. Nie wszystko staje się od razu w pełni świadome. Naprzeciw siebie stają przecież dwie świadomości, z których każda we właściwy sobie sposób doświadcza tego szczególnego daru spotkania w pięknie. To ostatnie słowo pragnę szczególnie podkreślić:

każda miłość jest miłością piękną, nawet gdyby w dalszym ciągu okazać się ono miało złudą.

Tu musimy zatrzymać się na chwilę, by sprecyzować nasze zamierzenie. Otóż zadanie, jakie sobie postawiliśmy, polega na próbie analizy miłości w możliwie najszerszym wymiarze, ale tylko miłości w sensie erotycznym, w szczególności takiej, jaka dzieje się między kobietą a mężczyzną. Pomijamy więc miłość w sensie *caritas*, miłość „braterską”, przyjaźń i wszelkie inne możliwe odmiany miłości. Miłość między kobietą a mężczyzną traktujemy jako wyróżnioną i podstawową odmianę miłości, jej – jeśli tak można powiedzieć – „analogat główny”.

Bliskość. Jej potrzeba staje się tu czymś najważniejszym, przewodnikiem procesu rozwijającego się uczucia. Niebawem wrócimy do próby analizy fenomenu bliskości. Teraz musimy jednak zwrócić uwagę na jeszcze jeden istotny moment – moment afirmacji. Zanim on nastąpi, toczy się gra tajemniczych sił, fascynacji i oziębłości, pewności i wątpliwości, pragnienia i powściągliwości. W jakiejś chwili ta gra pewności i niepewności dobiega kresu. Pojawia się, mniej lub bardziej niespodziewanie, moment decyzji. Decyzji stwierdzającej: „to jest to”. Pewność dotyczy tego, co najważniejsze: miłości, zdecydowania, że to jest właśnie ona i że o nią właśnie chodzi. Teraz oddają się jej mocy, od niej nie będzie ucieczki. Pragnienie zostaje spełnione. „Chcę tego”, „chcę, by tak się stało i tak już było”. Decyzja, o której tu mowa, ma charakter aksjologiczny: akceptacja miłości doświadczana jest jako osiągnięcie autentycznego dobra. Jeśli jest konsekwencją dotychczasowego postępowania opartego na uznawanej dotąd hierarchii wartości, bogaci aktualny sposób życia, pogłębia uznany za własny *ordo amoris*. Niekiedy jednak stanowi życiowy punkt zwrotny – gdy kochający rezygnuje z własnego porządku wartości na rzecz hierarchii wyznawanej przez ukochanego. Hierarchii oczywiście różnej od własnej. Gdy jest ona obiektywnie lepsza, może pociągnąć kochającego „ku górze”, odkryć przed nim horyzonty nieprzewidywalnych wcześniej możliwości. Może być jednak inaczej. Wprawdzie nowo akceptowana hierarchia w sposób oczywisty jawi się jako lepsza, ale obiektywnie wcale tak być nie musi. Konsekwencje nie ujawniają się od razu. Mogą okazać się zresztą niegroźne. Ale mogą także przynieść rozczarowanie, a nawet doprowadzić do tragicznego rozdarcia, niedającego się uleczyć do końca życia. Punkt zwrotny, jeśli rzeczywiście nastąpił, dzieli bieg życia, niekiedy dramatycznie, na „przed” i „po”.

Miłość jest przeżyciem integralnym. Znaczy to, iż obejmuje całość osoby ludzkiej: ciało, duszę i ducha. Sprawdza się to i w tej fazie miłości, którą można nazwać „odsłanianiem”. „Normalni” kochankowie wiedzą doskonale, że cielesne zbliżenia miłosne wymagają nagości. Ubranie, szaty przeszkadzają bliskości, a ta jest przecież fundamentem miłości. Nagość jest nie tylko doświadczeniem, ale i symbolem bliskości. Chodzi jednak nie tylko o bliskość fizyczną. Zadziwiająca jest jej potrzeba na płaszczyźnie duchowej. Zadziwiająca poprzez potrzebę wzajemnego odsłaniania się, mówienia o sobie, prowadzenia najbardziej intymnego dialogu. Postronny obserwator nie może się nadziwić, że zakochani spędzają niekończące się godziny na rozmowach, poruszają najróżniejsze tematy, ważne i błahe, wymieniają informacje rzetelne i zwykłe plotki. A gdy są w oddali, piszą codziennie listy. Postronny ob-

serwator bowiem nie wie, że zakochani pragną poznawać się coraz lepiej i głębiej, otwierać się przed sobą do końca i być w tym szczerymi aż do bólu.

A ból, niestety, czyha niekiedy na wyciągnięcie ręki. Zawsze można się spodziewać, że drugi ujawni jakieś potknięcie w swym postępowaniu albo ciemną stronę swej osobowości. Miłość jest w stanie wybaczyć bardzo wiele. Ale niekiedy jako reakcja rodzi się krzyk: „aż tak!”. Aż tak jest lub było? Czy jestem w stanie to wytrzymać? A gdy w toku odsłaniania się ujawni się zbrodnia? Bywają sytuacje, gdy w wyniku tragicznego odkrycia miłość pęka gwałtownie. I już nigdy nie wraca. Pomniemy jednak ten przypadek w naszych rozważaniach.

Zwróćmy uwagę, że istnieje nie tylko potrzeba poznania drugiego, ale i potrzeba odsłonięcia przed nim samego siebie. Człowiek pragnie być widziany<sup>1</sup>. Pragnie odsłonić się zwłaszcza przed tym, o kim wie, że go kocha. W miłości drugiego widzi niejako odbłask samego siebie, co więcej, wierzy, że tam zobaczy sam siebie prawdziwiej. Miłość potrafi ujawnić to, co najlepsze, a człowiek nie może żyć jedynie rozpatrywaniem swoich braków. Odsłonić się przed miłującym okiem i w nim zobaczyć siebie. A zobaczyć siebie przez miłujące „oko” Absolutu?

Panie, przenikasz i znasz mnie,  
Ty wiesz, kiedy siadam i wstaję.  
Z daleka przenikasz moje zamysły,  
widzisz moje działanie i mój spoczynek  
i wszystkie moje drogi są Ci znane.  
Choć jeszcze nie ma słowa na moim języku,  
Ty, Panie, już znasz je w całości.  
Ty ogarniasz mnie zewsząd  
i kładziesz na mnie swą rękę.  
(...)  
Wybadaj mnie, Boże, i poznaj me serce;  
doświadcź mnie i poznaj moje troski,  
i zobacz, czy nie podążam drogą nieprawości,  
a prowadź mnie drogą odwieczną!<sup>2</sup>

Dogłębne poznanie nie może się opierać na zewnętrznym oglądzie. Pragnienie kochanków sięga głębi, jest pragnieniem wzajemnego wniknięcia, nieustannego – jeśli to możliwe – wnikania w siebie. Także i to odbywa się na różnych płaszczyznach. Cieleśnie pozwala na nie anatomia kobiety i mężczyzny. Ale wnikanie i na tej płaszczyźnie oznacza coś więcej niż akt seksualny. Wydaje się, że pragnie tego każda cząstka ciała, każdy jakby otwierający się na drugiego por skóry, akty coraz bardziej zwierających się pocałunków, i ręce zaciskające się do granic możliwości. W tych wszystkich aktach chodzi o najgłębsze z możliwych poznanie siebie, poznanie przez ciało, które nagle zaczyna mówić własną mową i postępuje zgodnie z własną logiką.

Fenomen cielesnego wniknięcia opisała w mistrzowski sposób Jolanta Brach-Czaina w swej znakomitej książce *Szczeliny istnienia*. Przeczytajmy choć kilka fragmentów tego tekstu:

<sup>1</sup> Pisałem o tym kiedyś w jednej ze swoich Sigm, „Znak” 1970, 6, s. 769–779.

<sup>2</sup> Psalm 139 (138), w. 1–5 i 23–24; cyt. za: *Biblia Tysiąclecia*, wyd. 5, 2002.

To, co niewidoczne, ukryte bywa w szparach, szczelinach, pęknięciach prowadzących w głąb pod powierzchnię, na drugą stronę rzeczywistości. Tej samej jednak. Początkiem miłosnego wniknięcia jest spojrzenie. Zapowiada ono, a także powołuje zdarzenie erotyczne, które ma nastąpić. Przenika i odsłania od razu obie patrzące w siebie strony. (...) Pierwotne spojrzenie miłosne jest otwarte i ostateczne. Skierowane w głąb. Nagie. A wnikając nie tylko odkrywa, lecz także informuje, że nie ma odwrotu<sup>3</sup>.

W miłości ciało jest ciałem ducha. Jego znakiem, formą, kształtem. (...) Znamy więc ducha o tyle tylko, o ile znamy ciało ducha. (...) W każdym razie w miłości dotykamy bezpośrednio substancji istnienia, która jest duchowością cielesną<sup>4</sup>.

Wniknąć w rzeczywistość poznawaną to sobą ją wypełnić, ale to także siebie jej oddać. Być każdą częścią, być wszystkim<sup>5</sup>.

A więc wniknąć to nie znaczy zginąć w tym, z czym się utożsamiamy, lecz istnieć, zachowując siebie mimo utożsamienia<sup>6</sup>.

Ręce przesuują się po całym ciele z zamiarem poznania, ale też z chęcią jak najdokładniejszego wypowiedzenia uczucia, takiego, jakim jest w danej chwili. Poruszają się jakby namaszczały i błogosławiły każdy centymetr ciała, jakby żaden fragment nie mógł być pominięty. (...) Czymkolwiek dotykamy się teraz (...) – wnikamy w siebie wzajemnie<sup>7</sup>.

Miłość jest wniknięciem w czyjeś życie i zgodą na to, by ktoś nasze życie przeniknął. Jest doświadczeniem, które pozwala nam poznać obecność kreującą, bo przedmiot uczuć sami stwarzamy, choć nie jest on przecież zmysłeniem, jest nam dany. Z wewnątrz do nas przychodzi. Dzięki miłości poznajemy, ale jednocześnie stwarzamy i współistniejemy, nawet jeśli obiekt uczuć objawia nam się w nagłym odsłonięciu, w uderzającej jasności spotkania<sup>8</sup>.

Najważniejsze jest to wzajemne wnikanie w siebie, przenikanie siebie. W dialektyce tego procesu jedna strona jest „wnikająca”, druga – oddająca się, nie tylko pozwalająca na przeniknięcie, ale wręcz go pragnąca. Istotą stosunku miłosnego jest to, że ów proces poddawania się i przenikania jest wzajemny, że niekiedy obie fazy następują równocześnie i – co najważniejsze – obie generują jednakową radość. Mogą tu jednak zajść rozmaite niespodzianki. Dogłębne wnikanie w siebie, odsłanianie najtajniejszych zakątków własnej osobowości (i pozwalanie na to odsłanianie) niekiedy może sprawiać ból. Są rzeczy, które chciałoby się ukryć przed każdym, nawet przed samym sobą, i to ukryć na zawsze. Jeśli ich ujawnienie nie spowoduje załamania się miłości, można sądzić, że ta – jak głosił św. Paweł – istotnie „(...) wszystko znosi, (...) wszystko przetrzyma” (1 Kor 13, 7).

Opisywany tu proces ma różne wymiary czasowe, może trwać dłużej lub krócej, przebiega też przez rozmaite fazy. Zaczyna się najczęściej od delikatnych dotknięć i lekkich pocałunków, by przejść do coraz silniejszych uścisków, obejmujących integralnie całe ciało, do gwałtownych niekiedy i coraz szybszych ruchów, aż do momentu szczytowej rozkoszy, która, choć zrazu nieświadomie, a potem coraz bardziej

<sup>3</sup> J. Brach-Czaina, *Szczeliny istnienia*, Warszawa 1992, s. 172–173.

<sup>4</sup> Tamże, s. 166.

<sup>5</sup> Tamże, s. 191.

<sup>6</sup> Tamże, s. 192.

<sup>7</sup> Tamże, s. 194.

<sup>8</sup> Tamże, s. 195–196.

świadomie spodziewana, pojawia się – paradoksalnie – najczęściej nieoczekiwanie, napełniając wszystko bezbrzeżną radością. Ważne jest to, iż w tym procesie uczestniczy cały człowiek, poczynając od wrażeń czysto cielesnych, poprzez sferę rozplamionych, rozgorączkowanych uczuć, dziedzinę woli utwierdzającej się w pragnieniu trwania i pogłębiania tego, co się właśnie dzieje, pragnieniu wyrażającym się w niezachwianym „chcę”, angażując wreszcie intelekt, który w świetle oczywistej pewności, jakby w iluminacji, stwierdza, że właśnie o to chodzi, że jest tak, jak ma być, jak być powinno.

Niekiedy procesowi temu towarzyszą próby jego werbalizacji. Zakochani korzystają z języka potocznego, często tworzą jednak własny słownik. Pojawiają się neologizmy, zdrobnienia, im tylko zrozumiałe, a także zwykłe słowa, które jednak nabierają nowych treści. Dotyczy to także zadziwiających w tym kontekście wulgaryzmów, które zatracają w tym języku swoją brzydotę i doznają swoistego uszlachetnienia przenoszącego je w niecodzienny krąg wartości.

Dialektyka wnikania–dawania widoczna jest we wszystkich sferach ludzkiego ducha, także tam, gdzie dojść mogą tylko wybrani. Ale mechanizm miłości jest ten sam, tyle tylko że – jak się zdaje – archetyp miłości znajduje się w sferze najwyższej, w sferze mistyki. Wszystkie inne jej odmiany są niejako symbolami, w jakiś tajemniczy sposób odnoszą się do niej, a może nawet w niej uczestniczą.

Oto jak stan mistycznej miłości opisuje św. Teresa od Jezusa:

„Nie własną ręką dusza tu zadaje sobie tę ranę, która tak ją boli, iż rozłączona jest z Panem; ranę tę zadaje jej grot, inną ręką w nią skierowany i przesywający raz w raz jej wnętrzności i serce, iż od bólu tego sama już nie wie, co jej jest i czego chce. Czuje to dobrze, że Boga jej trzeba, że ostrze grota snadź napuszczone było sokiem cudownego jakiegoś zioła, iżby dla miłości Pana swego obrzydła samej sobie, ohotnie gotowa życie swoje dla Niego poświęcić. Żadne usta, chociażby najwymowniejsze, nie zdołają wypowiedzieć sposobu, w jaki Bóg tę ranę duszy zadaje, ani tego bólu, jakiego dusza tak zraniona doznaje i srogością jego ściśniona odchodzi od siebie; ale jest to zarazem ból tak słodki, iż nie ma w tym życiu rozkoszy, która by się z tą słodkością jego równać mogła, i dusza – jak już mówiłam – rada, by ciągle na tę ranę umierać<sup>9</sup>.”

Doprowadzony do końca proces wnikania kulminuje w zjawisku, które bodaj najtrafniej nazwać można „zrośnięciem”. Dynamika wnikania–oddawania, aktywności i bierności, ucisza się stopniowo i przechodzi w tajemniczy stan zjednoczenia zakochanych osób, w wymiarze cielesnym i duchowym, których jednak w ogóle – przynajmniej w pierwotnym doświadczeniu – się nie rozdziela. Jak to jest możliwe, że dwa ciała doświadczane są jako jedno? Że zdają się w przedziwny sposób zrośnięte, odczuwające wzajemnie te same bodźce, te same wrażenia? Nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie, mogę tylko powtórzyć, że takie zjawiska zachodzą<sup>10</sup>. Jeszcze wyraźniej widoczne jest to w sferze uczuć, intelektu i woli. Zakochani żyją w tym samym kręgu wartości, wyznają tę samą ich hierarchię, ten sam *ordo amoris*. Jeśli niekiedy myślą inaczej, to ich myślenie nie prowadzi do sprzeczności, lecz do

<sup>9</sup> Teresa od Jezusa, *Księga życia* [w:] *Dziela*, przeł. H.P. Kossowski, t. I, s. 382–385, cyt. za: *Antologia mistyczna*, wyb. i oprac. M. Zawada OCD, Kraków 2004, s. 268.

<sup>10</sup> Wiele tu powinno dać do myślenia ewangeliczne polecenie: „I będą dwoje w jednym ciele”.

wzajemnego dopełniania się. Metafora „bycia dwojgiem w jednym ciele” sprawdza się tu w całej rozciągłości, z tym, że owo „jedno” odnosi się także do ducha. Poczucie jedności pogłębia się w miarę upływu czasu, a gdy tak się dzieje, miłość dojrzewa i się doskonali.

Pragnienie bycia razem przeradza się w imperatyw najpełniejszego zjednoczenia. Bycia jednego w drugim, jego w niej i jej w nim. Czas przestaje być ważny. Ale przestaje być ważna także śmierć.

Raz jeszcze doskonały wyraz takiego zjednoczenia znajdujemy w wyznaniach mistyków. Raz jeszcze miłość „ziemska” okazuje się swoistym odbiciem miłości „niebieskiej”. Nie powinno to nikogo gorszyć. Autentyczne miłości nie przeciwstawiają się sobie, nie pozostają też tylko obok siebie, jak na wspaniałym, tajemniczym obrazie Tycjana. Miłości uczestniczą w sobie nawzajem. Albo lepiej: uczestniczą w jednej wielkiej Miłości, nieosiągalnej, choć wiecznie pragnionej.

Oto dwa teksty na zakończenie tego punktu naszych rozważań. Pierwszy – ostatnie strofy *V Sonetu* Mikołaja Sępa Szarzyńskiego. Drugi – fragment *Dzienniczka* Siostry Faustyny Kowalskiej.

Miłość jest własny bieg bycia naszego:  
Ale z żywiołów utworzone ciało  
To chwaląc, co zna początku równego,  
Zawodzi duszę, której wszystko mało,  
Gdy ciebie, wiecznej i prawej piękności,  
Samej nie widzi, celu swej miłości<sup>11</sup>.

W tej samej chwili uczułam jakiś ogień w sercu swoim, czuję, że ustają zmysły moje, nie wiem, co się wokół mnie dzieje, czuję, że mnie przenika wzrok Pański, poznaję dobrze wielkość Jego i nędzę swoją, cierpienie jakiegoś dziwne przenika duszę moją i radość taka, jakiej porównać z niczym nie zdołam, czuję się obezwładniona w objęciach Boga, czuję, że jestem z Nim i rozplywam się jako jedna kropla wody w oceanie. Nie umiem tego wyrazić, co przeżywam; po takiej modlitwie wewnętrznej czuję siłę i moc do pełnienia cnót najtrudniejszych, czuję niechęć do wszystkich rzeczy, które świat ma w poważaniu, pragnę całą duszą samotności i ciszy<sup>12</sup>.

Jeszcze jeden moment fenomenologii miłości wymaga szczególnego podkreślenia. Jest to doświadczenie czasu. Jego przebieg w procesie miłości jest inny niż w zwykłej codzienności. Następuje tu, jeśli tak można powiedzieć, intensyfikacja czasu, jego „zagęszczenie”. Wszystko, co się teraz dzieje, skupia się jakby w jednej chwili, ale chwili tak nasyconej treścią, że zdaje się rozciągać w nieskończoność. Albo inaczej: czas zdaje się zatrzymany, jego bieg nieważny, wartość ma tylko to, co się dzieje w aktualnym, właśnie przeżywanym t e r a z. Nieważna jest przeszłość i nieważna przyszłość. Ta druga dlatego, że przesłania ją przeczucie wieczności.

<sup>11</sup> M. Sęp Szarzyński, *Rytmy albo wiersze polskie*, oprac. i wstęp J. Sokołowska, Warszawa 1957, s. 36.

<sup>12</sup> F. Kowalska, *Dzienniczek. Miłosierdzie Boże w duszy mojej*, Warszawa 1993, s. 154; cyt. za: *Antologia mistyczna*, dz. cyt., s. 346.

Bo to jest jedną z istotowych cech miłości prawdziwej: pragnienie wieczności. Miłość chce trwać wiecznie. Jej ustanie jest wręcz niewyobrażalne. Śmierć nie ma tu znaczenia. Kochający pragną być przeniesieni w wieczność, która nie tylko ich nie rozdzieli, lecz jeszcze doskonale zespoli.

U podstaw pragnienia wieczności leży przeświadczenie o doskonałości miłości. Istnieć ma prawo to tylko, co doskonałe. W doskonałości zawiera się konieczność istnienia. Kochający są przekonani, że właśnie dlatego trwa w nich miłość, że w niej, czy poprzez nią, dotknęli doskonałości. W ten sposób stała się koniecznością. Nie ma od niej odwrotu. Ma być tak, jak jest. To znaczy: doskonale i wiecznie.

Naszkciovana tu „mała fenomenologia miłości” jest próbą uchwycenia fenomenu miłości, stanowi jednak jednocześnie swoistą jej idealizację (ideację?), to znaczy próbę dotarcia do jej idei.

Zapewne nie wszystkie wyróżnione tu cechy czy momenty miłości znajdują zawsze realizację. Proces miłości też nie zawsze przebiega wedle przedstawionego tu schematu. Wreszcie nie wszystko odbywa się w izolacji, jakby w próżni, w której poza tym nic się nie dzieje.

Na ogół jest zupełnie inaczej. Realna miłość jest umiejscowiona w realnym świecie i w realnym czasie. Toteż musi liczyć się z tym, że nie jest jedna jedyna. Że oprócz niej istnieją lub istniały inne miłości, z którymi ta jedna jedyna może nawet wchodzić w konflikt. Dotyczy to miłości już pod każdym względem przeżytych, które mimo to pozostawiły swój ślad, w sposób nieunikniony odbijający się (choćby poprzez porównanie) na miłości przeżywanej obecnie. Ale dotyczy to jeszcze bardziej miłości właśnie przerwanej i porzuconej na rzecz tej, która dopiero rozkwita. Często dochodzi tu do autentycznej tragedii, do spełnienia się wszystkich warunków tragiczności, tak wnikliwie opisanych przez Maxa Schelera. Przypomnijmy, że najważniejszy z nich, kreujący tak zwany węzeł tragiczny, sprawia, że zginąć musi jedna z dwóch pozostających w konflikcie, ale równowartościowych sił lub jeden z dwóch posiadających porównywalną wartość stanów rzeczy.

Szczególnym cieniem zagrażającym miłości szczęśliwej jest zazdrość. Niełatwo ją zdefiniować i opisać wszystkie jej przejawy. Ale wolno przypuszczać, że u jej podstaw leży przepełniony bólem lęk utraty czegoś najważniejszego, czegoś wręcz konstytuującego istotę naszej osobowości. Jeśli trafne były nasze dotychczasowe analizy, to przeczucie zagrożenia dotyczy przede wszystkim fenomenu „zrośnięcia”. Ból wzmagają niepewność tego, co może się stać, gdy dojdzie do rozdarcia zapowiadanego właśnie przez skłonność ukochanej osoby ku komuś innemu, kto właśnie pojawił się na horyzoncie i coraz bardziej ją fascynuje. Odpowiedzią może być walka, ale gdy zostanie przegrana, pozostanie tylko rezygnacja albo, co gorsze, nienawiść – ostatnia faza zazdrości.

Ale jest i druga postać zazdrości. Dotyczy nie tego, co dzieje się obecnie, lecz zdarzeń z przeszłości. Konkretnie: miłości, która kiedyś się rozwinęła i doprowadziła do nieodwracalnych faktów, teraz uniemożliwiających spełnienie się nowej, aktualnie przeżywanej miłości. Ta może być niejako wyłącznie powtórka, ale powtórka być nie chce: miłość pragnie budowania od nowa, przeżywania czegoś, czego nigdy wcześniej nie było. Fakty pozostają jednak faktami, nie da się ich unicestwić, moż-

na je jedynie w nowy sposób interpretować, kreując, w nowej perspektywie, nowy obraz przeszłości. Zazdrość, mimo to, pozostaje. Ból, jaki wywołuje, jest tym większy, im głębsza jest tęsknota za pełnym wzajemnym oddaniem, za najściślejszym „zrośnięciem”. Nikt lepiej nie wyraził przeżycia zazdrości o przeszłość niż Bolesław Leśmian w wierszu z cyklu *W malinowym chruśniaku*:

Zazdrość moja bezsilnie po łożu się miota:  
Kto całował twe piersi, jak ja, po kryjomu?  
Czy jest wśród twoich pieśczoł choć jedna pieśczoła,  
Której, prócz mnie, nie dałaś nigdy i nikomu?

Gniewu mojego łza twoja wówczas nie ostudzi!  
Poniżam dumę ciała i uczuć przepychy,  
A ty mi odpowiadasz, zem mamy i lichy,  
Podobny do tysiąca obrzydłych ci ludzi<sup>13</sup>.

Zadziwiająco trafnie Leśmian zwraca uwagę na bezsilność w tego rodzaju (skierowanej w przeszłość) zazdrości. Tu nic nie da się naprawdę zmienić. Miłość może ukoić ból – tak, jak to zostało opisane w dalszych strofach tego wiersza – ale źródła zazdrości nie zlikwiduje.

Na koniec jeszcze jeden „cień” miłości – nienawiść. Wspomnieliśmy, że wywołac ją może zazdrość. Jej dziwną cechą jest to, że kieruje się ku dwom osobom: i tej, która zazdrość wywołuje (jako „ten trzeci”), i tej, która jej ulega. Ból wywołuje jednak w tym tylko, kto zazdrości. Zazdrość jest zresztą raczej zazdrością o coś (miłość) niż o kogoś.

Nienawiść może się pojawić zupełnie nieoczekiwanie, w wyniku gwałtownego ustania miłości. Bo to też jest jedną z najbardziej zadziwiających jej cech: miłość może wygasać stopniowo, ale może się zakończyć dosłownie w jednym momencie. I właśnie wtedy zastępuje ją nienawiść, proporcjonalna w swej intensywności do przeżywanego wcześniej „zrośnięcia”. Trudno dociec przyczyn takiej przemiany. Zawód? Odkrycie „prawdziwej natury” wcześniej kochanego? Konsekwencje są dramatycznie jednoznaczne: zerwanie wszelkich stosunków, niepoznanie się na ulicy, niezauważanie najzwyczajniejszych pozdrowień. Zerwanie jest całkowite i nieodwołalne.

Trzeba było wspomnieć o bolesnych stronach miłości. Jej obraz, namalowany wcześniej, to obraz miłości szczęśliwej. Ktoś mógłby powiedzieć (nawet nie całkiem złośliwie), że należałoby zmienić tytuł tego eseju na: *Mała fenomenologia miłości, jakiej nie ma*.

---

<sup>13</sup> B. Leśmian, *Poezje zebrane*, oprac. A. Badyda, wstęp M. Jakimowicz, Toruń 1993, s. 232.